

## BRONISŁAWA KOKOWICZ ur. 1930; Konopnica



<b>Tytuł fragmentu relacji</b>	Konopnica przed wojną
<b>Zakres terytorialny i czasowy</b>	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
<b>Słowa kluczowe</b>	Konopnica w dwudziestolecie międzywojennym, życie codzienne w dwudziestolecie międzywojennym

### Konopnica przed wojną

Przed wojną w Konopnicy było zupełnie inaczej. Jak mama umarła, to zaczęliśmy budować ten dom; mama umarła w sierpniu, a we wrześniu przyszli murarze. Mój kontakt z Konopnicą się urwał. Pracowałam, nie było czasu, już nie było rodziców, każdy poszedł w swoją stronę.

Konopnica była dla mnie zawsze dużą wsią; ciągnie się aż do Lipniaka od kościoła – zawsze mówiliśmy, że kościół jest początkiem wsi. Najbogatszy człowiek w Konopnicy, to był ten, co koło nas mieszkał, Kalota. Poza tym byli średniacy. Dom stał przy domu.

Teraz zrobili asfalt, jest dużo przestrzeni, tu luka pusta, tam przyszło wielu nowych ludzi – Konopnica jest nie do poznania. Nie wiadomo nawet gdzie teraz szukać tych, co kiedyś tu byli. Była rodzina Paluczyńskich, wiatrak mieli. Znałam Pełczyńskich. Obok mieszkał Wartacz – nie wiem gdzie oni są teraz, znajomości się zatarły. Już kilku kolegów nie żyje: Wartacz, Gołębiowski, Adamczyk Mieczysław – to byli mężczyźni w moim wieku.

W Konopnicy nie było bogaczy. Słyszałam, że Babin, Matczyn – tam byli bogaci gospodarze, tu bogactwa nie było.

Był sklep przed wojną, bliżej kościoła. Właściciel nazywał się Kalicki. Później był jeszcze drugi, też spożywczy, przy drodze na cmentarz. Już później ludzie się troszkę rozruszali w tym handlu. Nasza rodzina zaopatrywała się w sklepie u Kalickiej. Kiedyś było inne zaopatrzenie, nie tak jak dzisiaj: lecimy po bułeczki, po chleb. Dawniej był w domu piec chlebowy i cały czas się piekło. Kto tam chodził kiedyś po chleb – to było nie do pomyślenia. Ten upieczony chleb może nawet czerstwy był jeszcze zdrowszy. Na takim swojskim chlebie byłam wychowana.

Kupowało się różne rzeczy. Prądu nie było, więc zapałki musiały być, nafta musiała być w lampce – inaczej się nie dało żyć.

Do Lublina trzeba było iść na piechotkę. Nie było czym pojechać, konia ojciec nie miał ani furmanki. Przeważnie mama kupowała wszystko. Zakładała na plecy taką płachtę (jak i

wszystkie kobiety) i dźwigała w tym zakupy.

Po wsi chodzili takie dziady po proszonym. Tych dziadów było dużo, trzeba było zamykać bramkę, bo ciągle przychodzili i prosili o coś. Zawsze chodził taki jeden dziad i siadał na miedzy u tego bogatego gospodarza. Okazało się, że to był szpieg niemiecki. Ludzie zauważyli, jak usiadł między zbożami i plany, czy coś, rozkładał, przeglądał. Zawieźli go na posterunek i wykryli, że ten dziad po proszonym chodził, a to był szpieg niemiecki. Później chłopci wzięli go na wóz, nawet czymś przywiązali i wywieźli.

Znałam tych ludzi, ale nie kochałam wsi. Wyszłam za mąż jak miałam osiemnaście lat. Ojciec nie miał dużo ziemi, a żeby mieć gospodarkę, trzeba mieć na czym robić, żeby był zysk. A ja powiedziałam „nie” i zrobiłam tak jak chciałam.

Data i miejsce nagrania	2010-06-18, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Marta Tylus
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"